Z PUERTO WILLIAMS NA ANTARKTYDĘ



Cumy oddane, wypływamy. Wrócimy za ponad dwa miesiące

12 stycznia, **dzień 8.** **Puerto Williams–Puerto Toro**

CUMY ODDANE, REJS ROZPOCZĘTY

Wypłynęliśmy. Jak zawsze trudno było przeciąć pępowinę łączącą z lądem. Darkowi co chwila przypominało się, co jeszcze trzeba dokupić i zrobić na jachcie, aż w końcu uznaliśmy, że trudno – jest, jak jest, idealnego stanu nie osiągniemy nigdy. Z drugiej strony dobrze wiemy, że powrót do prawdziwej cywilizacji nastąpi dopiero za jakieś dwa i pół miesiąca – w tym czasie nie będzie żadnych sklepów, warsztatów, stoczni… Trzeba będzie liczyć na siebie.

Sporo czasu zajęła odprawa graniczna. Żadnych kontroli na jachcie nam nie przeprowadzono – to my musieliśmy pofatygować się do odpowiednich biur. Z Armada de Chile, czyli marynarką wojenną zajmującą się między innymi paszportami, poszło szybko i gładko, za to trudności napotkaliśmy u celników. Problem polegał na tym, że wzięli nas za wyprawę komercyjną, a kapitanów, którzy biorą za rejsy zapłatę, mieć u siebie nie chcą. Pan urzędnik pochwa-



Kieliszek rumu dla Neptuna. Trzeba mieć z nim dobre układy

lił się nawet, że ostatnio były trzy komercyjne jachty, którym odmówiono odprawy na Antarktydę. Na szczęście jakoś udało nam się udowodnić, że naprawdę jesteśmy grupą znajomych i nikt na nikim nie zarabia. No dobrze, a co, gdyby nas nie odprawili? Gdybyśmy zostali uznani za jacht komercyjny (mimo że nim nie jesteśmy), to albo musielibyśmy zapłacić sporą karę, albo trzeba by było płynąć do Ushuai, by tam dopełnić formalności, tyle że wtedy już nie mielibyśmy prawa dobić do brzegu żadnej chilijskiej wyspy (a liczymy na odwiedziny u latarnika na słynnym Hornie).

Pożegnanie portu i faktyczne rozpoczęcie trudnej i długiej wyprawy uczciliśmy zgodnie z żeglarską tradycją, czyli symbolicznym toastem. Pierwszy kieliszek wyciągniętego przez Darka rumu poszedł zwyczajowo za burtę – dla Neptuna, drugi zaś wylaliśmy na pokład – dla „Hayata" – bo jacht, który nas nie zawiedzie, to przecież podstawa. Oczywiście my też coś tam łyknęliśmy, poza Darkiem, który kiedyś miał problem alkoholowy, ale teraz jest od wielu lat stuprocentowym abstynentem. Spojrzałam na kolegów – wszyscy tacy czyści, gładziutko ogoleni. Ciekawe, jak będą wyglądać za dwa miesiące, zwłaszcza że się zarzekają, że golić się na morzu nie zamierzają. Oficjalnie tłumaczą to tym, że golenie brody może przywołać sztormy albo przynieść pecha, choć tak naprawdę wcale się im nie dziwię – zwyczaje są ważne, ale strona praktyczna jest jeszcze ważniejsza. Na morzu wodę słodką trzeba oszczędzać, a golenie się w słonej wodzie przy jakimkolwiek zacięciu oznacza swoisty masochizm. Druga sprawa to naturalna osłona twarzy, jaką daje broda – owłosienie coś tam jednak ochroni przed zimnem, wiatrem i bryzgami słonej wody. Poza tym nie ma co kryć – broda to poniekąd symbol marynarzy. W ogólnym mniemaniu prawdziwy, doświadczony, wysmagany przez wiatry wilk morski to taki z brodą, a najlepiej jeszcze w koszulce w paski.

„Hayat" w Puerto Toro – wiosce poławiaczy krabów



WIECZOREM

Za rufą mamy już ponad 20 mil. Jak na razie cały czas płyniemy kanałem Beagle, mając po lewej brzeg argentyński (Ziemia Ognista),

a po prawej chilijski (wyspa Navarino). Mniej więcej 2 mile przed nami widać osadzony na mieliźnie wrak statku – w 1988 roku płynęła na nim jakaś sekta, której członkowie bardziej imprezowali, niż się modlili. Pijany kapitan nie chciał słuchać przydzielonego mu pilota, prawdopodobnie jedynej trzeźwej osoby na pokładzie. Oznajmił, że sugerowanej zmiany kursu robić nie będzie, „bo mu się nie podoba", no i wyszło, jak wyszło.

My tymczasem prujemy na silniku, bez żagli, chociaż wcale nie dlatego, że słabo wieje. Głównym powodem jest to, że mamy na pokładzie… sofę! A oprócz niej dwa fotele! Wcale nie żartuję, rzeczywiście taki osobliwy ładunek załadowano nam wczoraj wieczorem na dziób. Gdybyśmy mieli żagle i zrobiłby się przechył, meble mogłyby się zsunąć do wody, do czego dopuścić nie możemy.

Sofę mamy dostarczyć do Puerto Toro, małego porciku po drodze, a zleceniodawcą (usługa rzecz jasna gratis) jest Armada de Chile (chilijska marynarka wojenna). Kiedy dzień wcześniej jeden z oficerów zapytał nas, czy nie mógłby czegoś za naszym pośrednictwem przesłać, Darek nie oponował (zresztą nie wypadało odmówić), myśląc przy tym o czymś niewielkim (jakaś koperta czy coś w tym stylu). Że chodzi o meble, nikomu z nas nie przyszło do głowy.

Pewnym prośbom się nie odmawia, czyli pakujemy na pokład sofę i dwa fotele





– Może jak dajemy im darmowy transport, to przynajmniej nas na grilla w miejscu odbioru zaproszą? Taki stek to bym sobie zjadł… – rozmarzył się Kłysu.

Pierwszą morską wachtę będę miała od godziny 22 do 2, a że jest już 21, to nie opłaca mi się kłaść. Zresztą nawet szkoda by było, bo na pokładzie ciągle się coś dzieje. Przed chwilą na przykład obejrzeliśmy show w wykonaniu delfinów. Uwielbiam te zwierzęta – to prawdziwi przyjaciele żeglarzy. Ścigając się z jachtami, radośnie wyskakują z wody, czasem jeszcze w locie wykonują akrobacje. Kochane i mądre. Wcześniej były też wieloryby, ale daleko, zdradzały je jedynie fontanny wody, więc nawet nie wyciągnęłam telefonu, zakładając, że niebawem będziemy je widywać dużo bliżej. Zaskoczyło mnie natomiast, że pojawiają się w kanale, daleko od otwartego oceanu, gdzie jest całkiem spory ruch zakłócających spokój statków.

MORSKA FONTANNA, CZYLI JAK ODDYCHA WIELORYB

Ponieważ wieloryby to nie ryby, a oddychające powietrzem ssaki, wynurzanie się na powierzchnię morza jest dla nich koniecznością. To, co widzimy w formie fontanny, to nie żadna morska woda, ale gwałtownie, pod dużym ciśnieniem wyrzucane powietrze, zużyte podczas nurkowania. Pochodzi z wnętrza ciała, więc jest ciepłe i kiedy nagle styka się z zimnym powietrzem zewnętrznym, tworzy się para wodna, analogicznie jak zimą u ludzi, gdy na mrozie wydychamy parę z ust.

Ciekawe jest umiejscowienie otworów nosowych waleni – znajdują się na czubku głowy, dzięki czemu zwierzęta nie muszą unosić nad wodę całego pyska. Co do liczby owych otworów, to na przykład płetwal błękitny ma dwa, podczas gdy kaszaloty czy delfiny (to też walenie) tylko jeden. Aby zapobiec zalaniu płuc, w trakcie zanurzenia otwory nosowe są szczelnie zamknięte – odpowiedzialne są za to specjalne, silne mięśnie. To, że wieloryby mogą obyć się tak długo bez brania oddechu (kaszalot jest w stanie wytrzymać pod wodą nawet dwie godziny), stanowi zasługę złożonego systemu magazynowania tlenu. Dość powiedzieć, że ten w płucach to zaledwie 9 procent zapasu, reszta tlenu gromadzona jest we krwi (41 procent) oraz w mięśniach (50 procent).

Wracając do fontanny... Po jej wysokości i kształcie można rozpoznać gatunek wieloryba. Najwyższe fontanny, w postaci wąskiego, pionowego słupa pary sięgającego nawet 12 metrów, tworzą płetwale błękitne. Dla odmiany humbak robi fontannę niską (zwykle do 3 metrów), przypominającą kształtem balon (jest niemal tak samo szeroka jak wysoka), bardzo szybko się rozpraszającą. Wytryskowi pary towarzyszy przypominający sapnięcie głośny wydech, słyszalny z dość daleka. Z kolei u kaszalotów, ze względu na osobliwą lokalizację nozdrzy, strumień fontanny mającej 2–5 metrów wysokości skierowany jest wyraźnie na lewo i do przodu, pod kątem 45 stopni. To właśnie dzięki fontannom wiedzieliśmy, że w kanale Beagle mijaliśmy się z humbakami.



13 stycznia, dzień 9. **Puerto Toro–przylądek Horn**

Z WIZYTĄ U LATARNIKA

OKOŁO 2 NAD RANEM

Sofa oraz fotele oddane! Jednak na żadnego grilla nas nie zaproszono.

Pobyt w Puerto Toro był krótki. Niewiele się zmieniło w tej wiosce, odkąd byłam tu dziesięć lat temu – wzmocniono jedynie pomost i nabrzeże. Nadal na brzegu leżą kosze do łapania krabów, bo głównie z tego żyje kilkadziesiąt zamieszkujących wioskę osób, ciągle też stoi dumna tablica, że to najbardziej na południe wysunięta na świecie osada ludzka (55 równoleżnik). Ale skoro już tu dotarliśmy, to poszliśmy zobaczyć wykopane w pobliżu schrony chilijskich żołnierzy. Wydeptane ścieżki są chyba dowodem, że coraz częściej zaglądają tu turyści, bo nie sądzę, by w obecnych czasach wojsko nadal na poważnie brało pod uwagę takie umocnienia. To pozostałości po długoletnim konflikcie między Argentyną i Chile, z apogeum w 1978 roku. Wojna rzeczywiście wisiała w powietrzu – Argentyńczycy przygotowali do inwazji wojsko, w tym nurków mających pod osłoną nocy zająć okoliczne wyspy, ale na szczęście w negocjacje między rządami zwaśnionych stron włączył się papież Jan Paweł II, mobilizując obydwie strony do podpisania pokoju, na mocy którego obszar ten pozostał w granicach Chile.

Tymczasem pierwsza wachta już za mną. Ponieważ powiało mocniej, postawiliśmy genuę i grota – nasze główne żagle. Trochę nieprzyjemnie rzuca na fali, ale liczę, że jeśli się szybko położę w koi, to może oszukam błędnik i choroba morska mnie nie dopadnie.

Ważne, że przynajmniej wieje z dobrej strony, bo statystycznie większość wiatrów jest tu z kierunku południowego, co sprawia, że przez cieśninę, w której teraz jesteśmy (Bahia Nassau), na ogół trudno się przebić, podczas gdy teraz wiatr sam nas pcha. Kiedy byłam tu dziesięć lat temu, na rumuńskim „Phoenixie", nie mieliśmy tak łatwo. Nasz raptem 9-metrowy jacht – nie dość, że mały, to jeszcze z kiepskim silnikiem – nie dawał rady. Musieliśmy zawrócić i niemalże tydzień czekać w Puerto Toro, aż pojawią się bardziej korzyst-



Latarnia morska przy słynnym przylądku

ne wiatry, które pozwolą nam przeskoczyć przez ten niegościnny akwen.

PO POŁUDNIU

Groźne skały przylądka Horn pozostały już za rufą, co oznacza, że jesteśmy w Cieśninie Drake'a, obierając kurs na Antarktydę. Mogę się pochwalić, że zostałam potrójnym kaphornowcem. Tym razem wreszcie udało mi się zrobić trawers Hornu, płynąc ze wschodu na zachód, czyli przechodząc z Atlantyku na Pacyfik, a więc z bardziej „honornej" strony*. I jeszcze zeszliśmy na ląd, czyli wyspę Hornos, aby odwiedzić urzędującego tan latarnika i jego rodzinę. Nie ma co im zazdrościć – nie wiem, ile zarabiają, ale kontrakt na życie na tym pustkowiu podpisuje się na rok, a to jednak długo. Latem jeszcze ktoś tu dopłynie, coś się czasem zadzieje, ale w pozostałych miesiącach to tylko wygwizdów, zimnica, huraganowe wiatry i permanentny brak towarzystwa. Pewnie bardziej dla zabicia czasu, choć może też dla kasy, żona i nastoletnia córka latarnika produkują całkiem ładne rękodzieło. Kupiłam pamiątkowy breloczek, który dam mojemu żeglarskiemu guru, kapitanowi Wojciechowi Jacobsonowi**, a dla siebie wybrałam wydzierganego na szydełku pingwinka.



Słynny Pomnik Albatrosa z wyspy Hornos

* Opływanie przylądka Horn ze wschodu na zachód uważa się za trudniejsze niż w przeciwną stronę ze względu na zwykle niekorzystne wiatry (mówi się, że to droga pod wiatr) i związane z tym większe zmagania z falą.

** Wojciech Jacobson to bardzo zasłużona postać w polskim żeglarstwie. Breloczek dałam mu wkrótce po powrocie z rejsu. Cieszę się, że zdążyłam, bowiem 25 sierpnia 2026 roku dziewięćdziesięciosiedmioletni kapitan zmarł.